

Piotr Peto

Jarosław Zawadzki

Wspomnienie o Zbigniewie Wodeckim

Niespodziewane odejście Zbyszka Wodeckiego, jednej z największych osobowości polskiej estrady, multiinstrumentalisty, wokalisty, kompozytora i „człowieka orkiestry” sprawiło, że postanowiłem przeprowadzić wywiad z muzykiem, który z artystą związany był od ponad 20 lat, towarzysząc mu na koncertach jako kierownik zespołu muzycznego, a także realizując wiele nagrań Zbyszka we własnym studiu w Piasecznie.

Oto więc Jarek Zawadzki, saksofonista i klawiszowiec, muzyk obdarzony słuchem absolutnym, właściciel Studia 7, który najpierw opowie nam o sobie, a potem już bardziej konkretnie o trasach koncertowych i o Zbyszku, z którym wiązał jeszcze wiele planów, niestety już nieaktualnych.

■ PP. Jarku, chciałbym, żebyś na początek powiedział coś o sobie, czyli o swoich początkach w branży, a może nawet o czasach wcześniejszych, czyli o pierwszych kontaktach z muzyką, bo to często decyduje przecież o dalszej drodze zawodowej. Jak więc było w twoim przypadku? Kiedy odkryłeś w sobie talent muzyczny?

JZ. W zasadzie to się stało przez przypadek, bo kiedy miałem 6 lat, jeździliśmy do wujka do Piastowa, gdzie mieszkał mój starszy brat cioteczny, który już wtedy trochę uczył się grać na pianinie i to pianino, które tam stało, tak mnie ciekawiło i inspirowało, że otwierałem klawisz i naciskałem te klawisze. Wujek



się wkurzył, że mogę rozstroić lub uszkodzić instrument, ale mój ojciec się postawił i stwierdził, że skoro wujek nie pozwala, to kupuje mi pianino i że nikt mi nie będzie zabraniał grać, skoro chcę (śmiech).

No i się okazało, że widocznie coś tam musiało we mnie drzemać, skoro tak mnie to ciągnęło, a potem już się wkręciłem i tak się zaczęła moja edukacja muzyczna. Podstawą był fortepian – najpierw 2 lata lekcji prywatnych z nauczycielem, który pokazał mi też trochę, jak grać muzykę rozrywkową, a nie tylko gamy i wprawki w oparciu o klasykę. Potem przez całą podstawówkę uczęszczałem do ogniska muzycznego w klasie fortepianu i była to nauka na wysokim poziomie – sądzę, że nie gorszym, niż normalna szkoła muzyczna pierwszego stopnia.

Z tamtych czasów pamiętam, że w moim bloku tuż przed konkursem Szopenowskim ćwiczył u pani profesor Walewskiej Janusz Olejniczak, a do mnie czasem przyjeżdżał brat akordeonista i grywaliśmy sobie wspólnie. No i kiedyś Janusz przyszedł do nas i okazało się, że świetnie sobie radził również w repertuarze rozrywkowym. Pograliśmy na 4 ręce i to było bardzo fajne doświadczenie i pierwsze moje z nim spotkanie.

Ale pod koniec szkoły podstawowej zaczęła mnie fascynować elektronika, nawet kosztem muzyki. Pamiętam, że pod koniec 8 klasy zrobiłem jakieś radio, a nawet gitarę elektryczną z przystawkami własnoręcznie nawijanymi na pudełku od Akronu, choć w wykonaniu korpusu pomagał mi ojciec. Ta gitara zresztą do dziś jest w posiadaniu kolegi, który mieszka na Bielanych.

Moje zainteresowania sprawiły, że w 1970 rozpocząłem naukę w technikum elektronicznym przy ul. Zajączka i na okres dwóch lat zarzuciłem naukę muzyki, ale za to udzielałem się w szkolnym kółku muzycznym, bo potrzebowali klawiszowca. Graliśmy więc różne numery Purpli, Zeppelinów, Procol Harum i co tam jeszcze potrafiliśmy, no ale po 2 latach facet, który prowadził te zajęcia stwierdził, że warto by było, żebyśmy kontynuowali naukę muzyki w normalnej szkole, więc prawie całym zespołem zgłosiliśmy się do szkoły muzycznej na ulicy Świętojerskiej. Okazało się jednak, że ta dwuletnia przerwa w grze na fortepianie trochę mnie dyskwalifikuje, żeby nadrobić zaległości i dyrektorka zaproponowała, żebym grał na klarncie. Ja chciałem na saksofonie, ale w końcu się



Jarosław Zawadzki w reżyserce Studia 7.

skusiłem, bo kolega basista z zespołu dostał się do klasy fagotu, a gitarzysta grał na flecie. W ciągu dwóch lat nadrobiłem ten klarinet i przeniósłem się do szkoły na Bednarskiej, gdzie kontynuowałem naukę gry na tym instrumencie do czwartego roku i jednocześnie chodziłem do technikum, co zajmowało mi bardzo dużo czasu, a że zbliżała się matura, to ciężko było te wszystkie zajęcia pogodzić.

Edukację na Bednarskiej zakończyłem na czwartym roku, więc zabrakło mi jednej klasy do ukończenia szkoły średniej i nie mogłem zdawać na reżyserię muzyczną, bo wówczas wymagano tam właśnie pełnego, średniego wykształcenia muzycznego. O takim kierunku studiów myślałem dlatego, że mógłbym tam pogodzić moje zainteresowania techniczne i muzyczne.

■ Czyli nie ukończyłeś studiów muzycznych i poprzestałeś na niepełnym średnim wykształceniu w tym zakresie?

No nie całkiem tak, bo po Bednarskiej zdałem na muzykologię na ówczesną Akademię Teologii Katolickiej, która potem zmieniła nazwę na Uniwersytet imienia Kardynała Stefana Wyszyńskiego i bardzo jestem zadowolony z nauki tam, bo w przeciwieństwie do muzykologii, istniejącej również na Uniwersytecie Warszawskim, oprócz teorii było na ATK wiele zajęć praktycznych. Ja miałem przez 3 lata dodatkowe zajęcia z fortepianu, przez 5 lat chór i przez 2 lata dyrygowanie chórem, a przez 4 lata organy kościelne, co bardzo wiele mnie nauczyło i pomogło również w praktyce estradowej. No i dzięki tym studiom nie poszedłem do wojska, na co zupełnie nie miałem ochoty.

■ Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do czasów po maturze, bo chyba już wtedy udzielałeś się w różnych składach i z tego co wiem, to jako saksofonista, choć na tym instrumencie w szkole przecież grać się nie uczyłeś.

Saksofon sopranowy pierwszy raz wziętem do ręki bodaj w 4 klasie szkoły na Bednarskiej, za namową kolegów z pewnego zespołu jazz-rockowego, którzy powiedzieli, że jak nauczę się na nim grać, to wezmą mnie do kapeli.

Pożyzyłem więc instrument, poszedłem na pierwszą próbę i zagrałem (śmiech)

A ponieważ byli to świetni muzycy, znani do dziś, to zależało mi na możliwości grania z nimi i przez kilka lat był to mój podstawowy instrument, a dopiero potem doszedł tenor, natomiast klawiszowe zarzuciłem aż do czasów pierwszego wyjazdu na kontrakt zagraniczny, czyli do roku 1983.

■ Jak rozumiem, już wtedy grałeś zarobkowo, ale ciekaw jestem, czy kiedykolwiek pracowałeś na jakimś etacie, czy raczej zawsze wykonywałeś wolny zawód?

Owszem, pracowałem krótko na etacie państwowym, nawet w fabryce jako elektryk, choć tylko kilka miesięcy tam wytrzymałem. Ojciec mi załatwił tę robotę, gdyż stwierdził, że skoro nie poszedłem na studia zaraz po maturze, to powinienem iść do pracy i wspomóc rodzinę. Na ale to był tylko epizod, a potem jeszcze załapałem się do szkoły na Mokotowie, gdzie pracowałem jako nauczyciel wychowania muzycznego. Ale to ciężka robota i kompletnie się do tego nie nadawałem, a poza tym byłem za młody, bo różnica między mną a ósmoklasistami to było 4 lata – za bardzo się z tymi dziećmi spoufaliłem i oni zaczęli to wykorzystywać. Stwierdziłem więc,

ROZMOWA

że moja psychika tego nie wytrzyma i zrezygnowałem. A poza tym, na etacie w szkole dostawałem 100 zł na miesiąc, a jak zagrałem koncert z kolegami, to miałem z tego 40 zł przy weryfikacji B. Bo jak wiesz, kiedyś były tzw. weryfikacje estradowe i B to było właśnie 40 zł, A to chyba 70, a najwyższa grupa, czyli S, dostawała stówkę za koncert, no ale to już dotyczyło elity estradowej. Więc jeśli zagrałem tych koncertów z kolegami 5 czy 10 w miesiącu, to już były jakieś tam konkretne pieniądze, ale przez to trochę zaniedbywałem naukę na Bednarskiej i dlatego zrezygnowałem po 4 roku.

Ale gdy poszedłem na studia, to już w trakcie pierwszych dwóch lat grałem w różnych orkiestrach, np. na festiwalu w Opolu i trochę musiałem się chować, żeby nie zobaczyła mnie moja pani profesor od harmonii z uczelni, ale ona chyba takiej muzyki nie słuchała (śmiejch). Po 2 roku dostałem ultimatum od jednego z profesorów, że albo praca, albo uczelnia, więc od 3 roku stałem się już pilnym studentem, a moja praca ograniczała się występów weekendowych – jakichś zabaw, bankietów, a czasem nawet wesela się grało. Natomiast tuż po ukończeniu studiów próbowałem znów grać koncerty, trochę muzykę jazzową, ale ze względu na sytuację ekonomiczną w kraju zdecydowałem się na wyjazd zagraniczny i był to Hamburg, gdzie przez 2 miesiące graliśmy w takim znanym klubie muzycznym, normalną muzykę do tańca. Zarobiłem trochę pieniędzy, kupiłem instrumenty i po powrocie, po kolejnych 3 miesiącach w podobnym składzie wyjechaliśmy do Skandynawii. Tam obkupiłem się w kolejne instrumenty i potem z inną ekipą jeździłem przez 7 lat regularnie do Norwegii.

■ Grałeś na saksofonie?

Sporadycznie, ale przede wszystkim obstukiwałem klawiszowe, a ponieważ nie było gitary, musiałem również grać na nich partie gitarowe i miałem do dyspozycji 4 „parapety” ustawione jeden nad drugim i 12 pedałów. W międzyczasie pojawiło się MIDI, więc można było te różne barwy łączyć i też musiałem czasem robić to nogami, gdy nie starczało mi rąk, ale wtedy właśnie bardzo przydała mi się wcześniejsza nauka gdy na organach kościelnych i umiejętność niezależnej pracy rąk i nóg.

■ A dlaczego po 7 latach zrezygnowałeś z tej pracy, skoro było tak fajnie i jak rozumiem, niezłe finansowo?



3/4 zespołu Zbigniewa Wodeckiego wraz z solistą – bez Jarosława Zawadzkiego, który jest autorem tego zdjęcia.

Mój syn poszedł wtedy do 1 klasy i stwierdziłem, że jestem potrzebny na miejscu i muszę bardziej udzielać się rodzinie. Mieszkałem jeszcze wtedy w Warszawie, ale już budowałem się nasz dom w Piasecznie. Z każdego wyjazdu wracałem bogatszy nie tylko w dewizy, ale również w instrumenty i aparaturę muzyczną, co na początku lat 90. spowodowało, że pojawiła się myśl o założeniu własnej firmy i nastąpiło to w roku 1991. Nieco wcześniej jednak, gdy już przeprowadziliśmy się na nowe miejsce, pojawiły się pierwsze próby nagrań, wówczas na 2 magnetofony kasetowe dobrej jakości, choć oczywiście po 10 nakładkach jakości być nie mogło, ale nie miałem jeszcze wtedy magnetofonu, który pozwalałby na nagrywanie kodów czasowych, choć trochę wspomagalem się MIDI.

■ No tak, to były pionierskie czasy i pewnie mógłbyś długo opowiadać o tych początkach i organizacji studia, w którym realizowałeś w późniejszym okresie m.in. cały cykl telewizyjnych programów „Szansa na sukces” i nagrywałeś wiele gwiazd muzyki rozrywkowej i jazzowej, nie tylko krajowej, ale musimy przejść do głównego tematu wywiadu, czyli do Twojej współpracy ze Zbyszkim Wodeckim. Kiedy spotkaliście się po raz pierwszy?

Zaraz opowiem, ale dodam tylko, że propozycja zostania kierownikiem muzycznym Szansy na Sukces zmobilizowała mnie do zainwestowania większych środków w studio i do pójścia w wieloślad, choć pierwsze

nagrania były dość proste, bo nie wymagały dużej liczby instrumentów.

■ Jak rozumiem, nagrywałeś podkłady muzyczne do tych programów, które potem wykorzystywali ich uczestnicy?

Tak, robiłem półplaybacki i pierwszy mój program to były Czerwone Gitary, a potem było ich całe mnóstwo, przez kilkanaście lat.

Natomiast jeśli chodzi o pierwszy kontakt z Wodeckim, to miał miejsce jeszcze w czasach studenckich, gdy występowałem w big-bandzie Andrzeja Trzaskowskiego, w sekcji instrumentów dętych. I właśnie wtedy po raz pierwszy grałem „Izoldę” i „Zaczynaj od Bacha” – w Poznaniu, w roku 1977 albo 78. A kolejne, już bliższe kontakty, to były takie trasy koncertowe, trwające około pół roku, chyba w 1988 albo 89, gdy miałem przerwę w wyjazdach do Norwegii. Grałem wtedy w małym combo, jako zespół towarzyszący różnym artystom. To była taka składanka estradowa, gdzie oprócz Wodeckiego występowała np. Halina Frąckowiak, Andrzej Zaucha i wielu innych wokalistów, ale też aktorzy, jak choćby Roman Wilhelm. My byliśmy jedynym zespołem który im akompaniował, co bywało bardzo męczące, bo soliści wykonywali swoje kilka numerów i mieli wolne, a mu musieliśmy być na scenie cały czas.

Jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że często graliśmy 2 koncerty dziennie w zupełnie różnych miejscach i soliści przemieszczali się z nami jednym autokarem, a nagłośnienie jechało osobno. Oczywiście był to niewielki

sprzęt, bo ekipa akustyków musiała wszystko zdemontować i zainstalować tego samego dnia w odległości 50 czy 100 kilometrów, za co zawsze ich podziwiałem, bo wymagało to naprawdę dużej sprawności i koordynacji.

Ale nie były do występy na stadionach?

No nie, raczej jakieś lokalne domy kultury, niewielkie imprezy i taka trasa trwała powiedzmy 2 tygodnie, potem przerwa i znów kilkanaście dni po całej Polsce. Organizowały to lokalne estrady, czyli firmy państwowe, co wtedy było standardem. Były z tego całkiem niezłe jak na tamte czasy pieniądze i zdaje się, że już nie sprawdzano chyba weryfikacji (śmiech). Bywało też tak, że graliśmy w jednym miejscu 6 koncertów dziennie, czyli o g. 10, 12, 14, 16, 18 i 20, i tak przez 2 dni – sobotę i niedzielę. Teraz, jak sobie o tym pomyślę, to nie wiem jakim cudem ja to przeżyłem, bo my siedzieliśmy na tej scenie non-stop. Nie mieliśmy nawet czasu zjeść, mogliśmy się co najwyżej napić (śmiech). No ale były takie dwie panie, które nam przynosiły kotlety schabowe zawinięte w chleb – każdy dostawał 2 takie kotlety, które mógł popić oranżadą czy wódką i jakoś udawało się przetrwać.

■ A kiedy i w jakich okolicznościach nawiązałyście stałą, bezpośrednią współpracę, która trwała do końca?

To było chyba ze 20 lat temu. Wodecki dużo jeździł z taśmami, z mini discami i w końcu powstał zespół – na początku bez klawiszy, w składzie gitara, gitara basowa i bębny, ale wkrótce ja dołączyłem i graliśmy

albo w kwartecie, albo bez gitary. Sądzę, że zagrałem z nim jakieś 98% koncertów przez te wszystkie lata, bo koledzy mieli inne zespoły i czasem dawali zastępstwa, a ja grałem prawie zawsze i w końcu jakoś tak się ustaliło, że zostałem kierownikiem muzycznym tego zespołu.

■ Możesz tak z grubsza określić, ile było tych koncertów w sumie? Setki? Tysiące?

Oj mnóstwo. Gdy spojrzałem w tym roku w kalendarz, to okazało się, że od czerwca do końca roku mieliśmy już zabukowane 50 koncertów, a pewnie z 50 już zagraлиśmy. 2 lata temu kupiłem specjalnie nowego busa, żeby wozić kapelę i sprzęt i w tym czasie przejechałem nim jakieś 100 tysięcy km.

■ Zbyszek jeździł z Wami tym busem, czy raczej oddzielnie się przemieszczał?

Sporadycznie jeździł z nami, ale wolał sam, bo był bardzo niecierpliwy i ciągle się śpieszył (miał dużo szybsze auto). Jeździł bardzo szybko, o czym zresztą sam opowiadał publicznie, więc to nie żadna tajemnica, że czasem trochę za odważnie. Jechaliśmy kiedyś autostradą i patrzę w lusterko i mówię do chłopaków, że chyba Wodecki jedzie. A oni na to: tak wolno? Niemożliwe... nagle ten samochód przyspieszył i tylko śmignął obok nas – no tak, pewnie rozmawiał przez komórkę (śmiech).

W ostatnich latach zainteresowanie jego występami wzrosło, co zapewne było związane ze współpracą Zbyszka z zespołem Mitch & Mitch i wydaniem wspólnej płyty. Tak więc koncertował z nimi, z nami i jeszcze

dotąd sam, co kiedyś doprowadziło do sytuacji, że musiano mu wynająć helikopter, żeby zdążył z jednego koncertu na drugi, z czym wiąże się pewna anegdota, ale raczej nie do druku (śmiech).

Zresztą tych różnych historyjek i anegdot jest tyle, że nasz basista, Mirek Wiśniewski mówi, że kiedyś chyba napisze na ten temat książkę, a poza tym mamy mnóstwo materiałów zdjęciowych i filmowych i pewnie będzie my to jakoś składali, bo może powstanie kiedyś z tego jakiś film dokumentalny.

■ To może ja powiem jako ciekawostkę, że mam koleżankę, która pracowała w archiwum TVP i kiedyś zwróciła się do niej największa podobno fanka Zbyszka, z prośbą o udostępnienie, czyli przegranie wszystkich materiałów, jakie są w posiadaniu telewizji na temat jej idola. Oczywiście jest to usługa płatna, więc odbywało się to etapami, ale pani otrzymała wszystko to, o co poprosiła. A już po śmierci Zbyszka dostałem od koleżanki takiego maila, którego fragment zacytuję dosłownie, oczywiście za zgodą autorki: „Znalazłam papierzyska dotyczące przegrania materiałów archiwalnych z udziałem Pana Zbigniewa Wodeckiego. To o ile pamiętam kolejne pismo w tej sprawie. Tutaj mam 123 audycje z Jego udziałem. (...). I jakoś tak uwierzyć nie mogę, bo całkiem niedawno przechadzał się po korytarzach mojej firmy mówiąc wszystkim „Dzień dobry”.... i ten Jego uśmiech”. Kojarzysz tę fankę?

Chyba wiem, o kogo chodzi...

■ Jak rozumiem, Zbyszek grał przy każdej nadarzącej się okazji i w bardzo różnych konfiguracjach zespołowych, ale już dość dawno doszedł do wniosku, że własny zespół daje mu najwięcej możliwości w codziennej pracy?

Dawniej był trochę inny rynek muzyczny i gdy dostawał propozycję występu na jakimś koncercie czy festiwalu z takim czy innym zespołem, to ją po prostu przyjmował, ale w pewnym momencie doszło do takiej sytuacji, że chciał mieć jeden stały skład, no więc grał z nami. Co ciekawe, przez wiele lat nie mieliśmy żadnej ekipy technicznej – sprzęt nosiliśmy sami i sami się nagłaśnialiśmy, jeśli akurat w miejscu występu nie było lokalnego akustyka. Dopiero w ostatnich latach pojawił się menedżer z prawdziwego zdarzenia i przekonał Zbyszka, że dużo większy komfort występu



ROZMOWA

zapewni mu własny akustyk, co zresztą było związane właśnie z nawiązaniem współpracy z Mitch & Mitch, którzy mieli własną technikę, akustyka i Zbyszek dopiero wtedy zobaczył, że to jest zupełnie inna praca. I tym sposobem akustyk Mitch'ów, Jacek Mazur, został też akustykiem naszego kwartetu, a czasem kwintetu, bo bywało, że na większych koncertach występował z nami Michał Bylica, kuzyn Zbyszka, znakomity trębacz, na co dzień grający w Operze Krakowskiej.

■ To trochę dla mnie dziwne, że muzyka tej klasy trzeba było tak długo przekonywać do wydawałoby się oczywistych rzeczy. Czym to było spowodowane?

On po prostu ufał nam. Zawsze przyjeżdżaliśmy wcześniej, robiliśmy próbę jego mikrofonu, odsłuchów i gdy się pojawiał, to przyjeżdżał na gotowe i z reguły było dobrze, no chyba, że sprzęt był słaby, bo my woziliśmy tylko nasze graty, a nagłośnienie widowni zawsze zapewniał organizator. Więc jak sprzęt był kiepski, to musiał się męczyć i czasem miał pretensje do nas, gdy źle się słyszało, albo coś było przesterowane. Pamiętam taką zabawną sytuację, gdy graliśmy kiedyś na święcie Gęsi – no wiesz, są różne święta: Piwa, Grzyba (śmiech) i okazało się, że dom kultury zakupił właśnie nowiutki sprzęt, który jeszcze zafoliowany



stał na estradzie małego amfiteatru, ale nie było akustyka. Był tylko taki facet na lekkim rauszu, który pomógł nam to rozłożyć i poinformował nas, że jak akustyk zobaczył, że nie poradzi sobie z tą aparaturą, to uciekł (śmiech).

No ale trzeba było przecież zagrać koncert i na szczęście nasz gitarzysta miał system bezprzewodowy do gitary i siedział za mikserem jednocześnie grając i miksując ten koncert. A jak schodziliśmy ze sceny, to podjechał autokar i wysypało się z niego ze 40 członków jakiegoś folklorystycznego zespołu z Meksyku, który jak się okazało, miał występować po nas. No i konferansjer już ich zapowiada, a do nas podchodzi ten pomocnik i mówi: no tak, ale ciekawe, kto ich teraz k...a nagłośni (śmiech).

No ale czasy się zmieniły i pod tym względem jest już o wiele lepiej. Sprzęt jest przeważnie dobry, czasem rewelacyjny, a własny akustyk to oczywiście duże ułatwienie, bo jako zespół mogliśmy skupić się wyłącznie na graniu.

■ No właśnie, mówimy ciągle o zespole, a jeszcze nie przedstawiliśmy jego składu, więc sądzę, że teraz jest dobry moment na to.

Oczywiście, proszę bardzo. Stały skład zespołu Wodeckiego w ostatnich 20 latach to Paweł Twardoch – perkusja, Zbigniew Stelmasiak – gitara, Mirosław Wiśniewski – gitara basowa,

Jarosław Zawadzki – instrumenty klawiszowe i saksofon tenorowy. Z tym składem współpracował wspomniany już kuzyn Zbyszka Wodeckiego, Michał Bylica, grający na trąbce.

Zastępczo grali też Jarosław Igielski, Bartosz Szetela, Dariusz Szymańczyk – gitara basowa,

Łukasz Targosz – gitara, Przemek Kuczyński, Mariusz Mocarski, Adam Lewandowski, Grzegorz Poliszak, Krzysztof Zawadzki (mój brat), Remek Zawadzki (mój syn) – perkusja, Mariusz

Dubrawski oraz Rafał Stępień wspomagali nasz zespół jako pianiści na koncertach, które graliśmy z orkiestrami symfonicznymi.

Natomiast wracając jeszcze do techniki, to w ostatnim okresie nasz akustyk zawsze wysyłał przed koncertem rider techniczny, którego potem bezwzględnie przestrzegał i robił straszną awanturę, jeśli nie było tego niezbędnego minimum. A Zbyszek nawet dał się namówić na swój mikrofon osobisty, który mu akustyk zawsze woził i był to sprzęt firmy DPA – świetny, ale trudny do opanowania dla monitorowców, żeby się nie sprzęgał, więc Jacek zawsze tłumaczył lokalnej ekipie czego mają unikać i jak ustawiać odsłuchy, żeby nie było niespodzianek. Tak więc jak już wspominałem, my, jako zespół mogliśmy skupić się wyłącznie na swojej pracy i nie rozpraszały nas żadne dodatkowe czynności. Dodatkowo nowy menadżer przejął na siebie również sprawy finansowe, czyli wystawiał faktury, a my z kolei jemu, a dawniej przez wiele lat było tak, że Zbyszek wystawiał fakturę za siebie, a ja za zespół i miałem w związku z tym na głowie buchalterię całej kapeli, co też było dla mnie kłopotliwe i dodatkowo absorbujące.

■ Czyli można powiedzieć, że te ostatnie dwa lata były jednymi z lepszych z całego okresu Waszej działalności, i to zarówno pod względem komfortu pracy, jak i zainteresowania publiczności?

Tak, ostatni okres był bardzo intensywnie wypełniony koncertami i ze względu na brak problemów ze sprzętem i możliwości skupienia się na graniu wszyscy byli zadowoleni – my, jako zespół, a Zbyszek jak solista, który mógł sobie pozwolić na różne zmiany repertuaru, czy zaśpiewanie czegoś w zupełnie inny sposób.

■ To może powiedz teraz coś o jego chorobie. Czy to była sprawa, która wyszła nagle,



fot. z archiwum J.Zawadzkiego

czy wiadomo było już od dawna, że z jego zdrowiem nie jest najlepiej?

Tak naprawdę, to on miał kłopoty z sercem już od dość dawna. Zdiagnozowano migotanie przedsionków i już chyba 2 lata temu albo wcześniej lekarze zalecali wykonanie by-passów, ale on to opóźniał i zdecydował się dopiero teraz, a to był już ostatni dzwonek, bo męczył się i widać to było również w trakcie występów. Gorzej oddychał, a przecież granie na trąbce tych wysokich dźwięków wymaga sporego wysiłku i między innymi dlatego wspomagał go niektórych partiach kuzyn trębacz, o którym już wspominałem. Dzielnie to znosił, ale namawialiśmy go wraz z rodziną na szpital i dobrze, że w końcu się zdecydował, bo mogło się to skończyć tragicznie, w trakcie koncertu, albo co gorsza, gdyby jechał samochodem. Poszedł do szpitala, choć bał się tej operacji, czego nie ukrywał, gdy rozmawiałem z nim dwa dni przed zabiegiem. Sama operacja podobno była przeprowadzona wzorcowo, ale nastąpiły komplikacje, które zawsze są możliwe w takim wypadku i stało się jak się stało, nic już na to nie poradzimy.

Bardzo żałuję, bo mieliśmy mnóstwo planów zawodowych, które niestety stały się nieaktualne. Oprócz koncertów, był już praktycznie nagrany cały materiał na nową płytę, oprócz wokali, które Zbyszek planował nagrać w ciągu kilku dni po wyjściu ze szpitala. Zdążył nagrać na tę płytę tylko jedną piosenkę i to też tak nie do końca.

■ Ta płyta była nagrywana w Twoim studio?

Częściowo, bo instrumenty i sekcja u mnie, ale wokale i klawisze w Sonorii, gdzie Rafał Stępień, który jest producentem tej płyty ma studio i wszystkie klawisze robi tam, ewentualnie przyjeżdża do mnie, żeby skorzystać z instrumentów, których tam nie ma, czyli z dużego Hammonda, Wurliczera czy klawinetu Hohnera.

Za to dwie poprzednie płyty były nagrywane w całości u mnie. Pierwsza, dla firmy Sony w czasach, gdy Zbyszek był jurorem w Drodze do Gwiazd, a druga to był taki materiał typu „The Best”, gdzie było kilku producentów, bo część aranżacji robił Wojtek Gogolewski, część Krzysiek Herdzin, a część Wojtek Karolak.

■ A powiedz mi, czy Ciebie, jako profesjonalnego muzyka z ogromnym stażem i doświadczeniem nauczyła czegoś współpraca

z Wodeckim? Mam na myśli takie kwestie czysto profesjonalne.

Oczywiście, tak na pewno wiele mnie nauczyła. Bardzo się cieszę np., że miałem okazję brać udział w takim projekcie, który on zrobił z orkiestrą symfoniczną i chórem, gdzie brało udział ze 150-200 osób. To było oratorium pod nazwą „Amabilis” i było napisane na 650 rocznicę powstania miasta Niepołomice. Świetny utwór skomponowany przez Zbyszka, z doskonałą orkiestracją na orkiestrę symfoniczną.

■ Czyli muzyka klasyczna?

Tak, ale z elementami rozrywki i z udziałem wielu solistów, bo śpiewa tam m.in. Hanna Banaszak, Beata Rybotycka, Mietek Szczepiński, Janusz Radek i pewnie jeszcze kogoś nie wymieniłem. Poznałem przy tej okazji Zbyszka od zupełnie innej strony, czyli właśnie muzyki poważnej, a nie rozrywkowej i było to bardzo ciekawe doświadczenie.

■ Powoli musimy kończyć, bo artykuł ma jednak ograniczone ramy, więc może powiedz na zakończenie, czy są jakieś plany na przyszłość, związane z osobą i twórczością Zbyszka Wodeckiego?

Nie wiem czy mogę o wszystkim mówić, ale jest np. pomysł, uzgadniany z rodziną i menadżerem, żeby jednak skończyć płytę o której mówiłem, ale z udziałem zaprzyjaźnionych wokalistów. A poza tym, ponieważ na

jesieni była zaplanowana bardzo duża, jubileuszowa trasa koncertowa Zbyszka, pomyśleliśmy sobie, czy by nie zrobić tego w formie koncertów upamiętniających Zbyszka, a przy okazji wydać tę płytę z piosenkami śpiewanymi przez przyjaciół, plus ta jedna, którą zdążył nagrać sam. Myślę, że to dobry pomysł i że będzie spore zainteresowanie, szczególnie jeśli pojawią się tam znani wokaliści. A tak w ogóle, to gdy rozmawialiśmy ze Zbyszkiem, stwierdziliśmy, że najlepiej gra się koncerty biletowane. Bo wtedy ludzie płacą, przychodzą świadomie i chcą tego słuchać. My mieliśmy kilka razy taką sytuację, że publiczność zamiast słuchać przeskadzała i wtedy Zbyszek przerywał występ mówiąc coś takiego: „słuchajcie, ja tutaj mam kontrakt, żeby godzinę zaśpiewać, a potem sobie pójdę. Więc może posłuchajcie, a potem sobie zjecie” itd.

I przeważnie pomagało. Ważne, żeby potrafić delikatnie zwrócić uwagę, nie opieprzać, bo się obrażą. W każdym razie takie granie bankietowo-kotletowe frajdy nigdy nie sprawia. Zupełnie inaczej się gra, gdy ludzie chcą słuchać.


■ Życzę Ci więc na koniec jak najwięcej takich koncertów i dziękuję za ten wywiad mając nadzieję, że uda się zrealizować wszystkie plany i że jeszcze nie raz będziemy mieli okazję wspominać Zbyszka, który odszedł zdecydowanie za wcześnie. 



foto: K. Foremniakowska